NA ROGACZA.

Mam dwustukilkudziesięcio morgowy rewir, składający się z kultur i zagajników w wieku od jednego do trzydziestu paru lat. Najstarsze, sosnowe drągowiny znajdują się na brzegach rewiru, niezdatnych do uprawy, reszta pochodzi z nieuprawianych podczas wojny światowej pól, które się same zagaiły, a w ciągu ostatnich dziesięciu lat były dopełniane przeważnie brzeziną, na miejscach najniższych olszyną, świerkiem i trochę sosną. Całość wobec tego przedstawia nader nierówne zalesienie tak co do rodzaju drzew, jak i ich wieku. Podjazd jest zupełnie wykluczony, bo można jeździć tylko linjami, a spotkany na trochę więcej otwartej przestrzeni rogacz ma wszędzie bardzo blisko do gęstwiny, w której się zaraz spokojnie kryje i jest bezpieczny. Przez całą zimę miałem tu kilkanaście sztuk sarn, które bardzo intensywnie żywiłem snopkami owsa, koniczyną i bulwami. W kwietniu poleciłem gajowemu sprawdzić, czy na jedyną łączkę, zagajoną parę lat temu olszyną, wychodzą dem słońca, z powodu przyjazdu sąsiada, to też opuściłem zasiadkę, nie widząc tego wieczora nic; gdy oddaliłem się od niej o jakieś 150 metrów i objeżdżałem łączkę, z przykrością zobaczyłem owego kapitalnego rogacza żerującego o jakieś kilkadziesiąt metrów od zasiadki; o powrocie nie było mowy, postanowiłem więc podejść rogacza kilkoletnim sosnowym zagajnikiem, a na to musiałem zrobić dosyć duże koło i wskutek pośpiechu, gdy dostałem się do miejsca, skąd mogłem strzelać, byłem tak zmęczony, że nie mając o co oprzeć sztucera, rogacza chybiłem. Przez dłuższy czas rogacz ten na łączkę się nie pokazywał, a jak mi meldował gajowy, przebywał w starej drągowinie i dziesięcioletnim gęstym zagajniku sosnowym. W tym czasie zabiłem w innych rewirach o trzy kilometry od powyższego położonych, dwa kapitalne szóstaki o bardzo ładnych parostkach, a wczoraj zameldował mi gajowy, że ów chybiony rogacz znowu na tę samą łączkę wychodzi. Nie odkłada-



Chata Poleska. Fot. J. W. Krauze.

żerować sarny. Po kilku dniach dostałem meldunek, że wychodzi kilka sztuk — duży kapitalny szóstak, trochę mniejszy z sarną i stara sarna z dwoma rocznemi koźlakami i szpiczakiem. Miejsce na zasiadkę wybrałem na rowie, przecinającym łączkę pośrodku, między brzozami 6 — 8 metrowej wysokości, tak że korony ich, w dwie przeciwne strony zakrywały mi łączkę na swoją szerokość; nie bałem się, że mi to nieraz zakryje żerującą sztukę, bo sarny są bardzo ruchliwe. Parę posiedzeń nie dało wyniku, prócz rozkosznie spędzonego czasu wśród skrzydlatych rozśpiewanych mieszkańców lasu i widoku śpieszących przed zachodem słońca na sąsiednie pole koniczyny zajęcy, lub rabusia-lisa przemykającego chyłkiem ku sąsiedniej wsi po kurczęta, żerujących sarn lub nienadających się do strzału rogaczy szpicaków. Pewnego wieczoru musiałem wrócić do domu pół godziny przed zachojąc więc, po popołudniowem zlustrowaniu gospodarstwa o g. 18 m. 30 znalazłem się w zasiadce. Po godzinie cierpliwego czekania ujrzałem przez gałęzie brzozy na nieprzerwanem zielonem tle otoczenia żółto-ceglastą plamę żerującej sztuki; gałęzie brzozy przeszkadzały dokładnemu przyjrzeniu się jej, więc musiałem położyć się na podłodze zasiadki i przekonałem się, że był to nieduży szpicak, żerujący o jakieś sto kilkadziesiąt metrów; po odjęciu lornetki od oczów ujrzałem drugą taką samą plamę, ale dalej niż szpicak i o kilkadziesiąt metrów od niego wlewo; przez lornetkę przekonałem się, że to sztuka duża, ale z powodu oddalenia rogów nie dojrzałem, sztuka wkrótce zaczęła się zbliżać do szpicaka i nie dochodząc do niego, o jakieś dwadzieścia metrów stanęła frontem do mnie i długo patrzała w moją stronę, wtedy poznałem rogacza, który kłusa ruszył na szpicaka, zmusił go do

ucieczki i oba zniknęły za stojącą przedemną brzozą. Zajęty tymi rogaczami nie widziałem, co się wokoło mnie dzieje, to też jak znikły, ostrożnie wstałem na kolana i ku wielkiemu zdziwieniu i radości ujrzałem o jakieś 30 — 40 metrów dużą sztukę zapatrzoną w stronę odeszłych rogaczy; krzak olszyny zakrywał mi szyję i tułów do połowy brzucha, a na podniesionej głowie uwydatniały się długie niezbyt silne parostki szóstaka; wobec zakrywającego krzaka postanowiłem czekać ze strzałem, aż sztuka ruszy, co też wkrótce nastąpiło — rogacz zawrócił na miejscu i truchtem oddalał się ku zagajnikowi, stanął dopiero przed zagajnikiem o parę metrów, a o jakieś przeszło 100 metrów odemnie; bojąc się, że mi się łatwo schowa w zagajnik, zbyt pośpiesznie strzeliłem i rogacz znikł w zagajniku, pokazał mi się na krótką chwilę w drągowinie, gdzie szedł w wolnych susach, co mi dało do myślenia, że go nie chybiłem; zaraz się tam udałem i poszedłem w kierunku jego ucieczki — leżał bez tchu o jakieś 100 metrów od miejsca strzału z kulą przez środek brzucha bardzo blizko komory. Był to szóstak o wadze 30,2 kgr., parostki miał wszakże słabe, chociaż długie.

Na uwagę zasługuje tu fakt, że jednocześnie miałem w promieniu 200 metrów trzy rogacze, co dowodzi, że stan saru na Podlasiu wybitnie się poprawił, kto wie, czy nie jest nawet lepszy, niż był na krótko przed wojną.

W. D.

NA MARGINESIE KOMENTARZY DO PRAWA ŁOWIECKIEGO.

(Komentarz do komentarza).

Nakładem Związku pracowników administracji gminnej R. P. ukazała się praca d-ra Wincentego Kałuskiego, naczelnika wydziału w Urzędzie Wojewódzkim w Kielcach p. t. „Prawo Łowieckie". Praca to naogół bardzo staranna, wyczerpująca, zaopatrzona w teksty rozporządzeń wykonawczych i we wzory podań. Prócz walorów powyższych posiada ona te dwie bardzo ważne zalety, że łączy w sobie ścisłość prawniczą z jasnością i przystępnością wykładu oraz że napisana jest nie tylko ze zrozumieniem, lecz i z umiłowaniem przedmiotu. Odrazu po przeczytaniu pierwszych stronic tego komentarza wyczuwa się, że go pisał nie tylko rutynowany prawnik, ale i prawdziwy myśliwy.

Oceniając w pełnej mierze walory książki d-ra Kałuskiego, tembardziej nie mogę się powstrzymać od podzielenia się z szerszym ogółem myśliwych, których bezwątpienia interesuje kwestja prawidłowej wykładni prawa łowieckiego, pewnemi zastrzeżeniami, jakie mi się nasunęły przy studjowaniu niektórych wywodów Sz. Autora.

I. Na str. 21, komentując art. 7 prawa łowieckiego, pisze dr. Kałuski: „Jeżeli obszar polowania nie stanowi obwodu łowieckiego własnego — **obojętne czy z powodu braku odpowiedniej powierzchni, czy z powodu niezarejestrowania przez właściciela swego terenu jako osobnego obwodu własnego** — właściciel tego polowania może użytkować je jedynie łącznie..." i t. d., a przedtem nieco na str. 20 czytamy: „**właściciel obszaru 100 ha i większego nie musi tego obszaru rejestrować jako obwód łowiecki własny. Może on bowiem zgodzić się na wcielenie takiego obszaru do ogólnego obszaru gminy**". Innemi słowy Dr. Kałuski jest zdania, iż obwód łowiecki wspólny może być utworzony nie tylko z działek gruntu, z których każda będzie mniejsza niż 100 ha (przepisowe minimum dla utworzenia obwodu własnego), lecz, że mogą być utworzone obwody wspólne, że tak powiem: „mieszane", t. j. składające się zarówno z jednostek gruntowych mniejszych, niż po 100 ha każda, jak i z jednostek większych (np. 1000-hektarowych), a to nawet w tych wypadkach, gdy właściciele tych jednostek większych, ociągając się z zarejestrowaniem ich jako obwodów łowieckich własnych, będą się temu sprzeciwiać. Rozważmy rzecz na przykładzie. Przypuśćmy, że część gminy stanowiąca obszar odpowiedni dla utworzenia obwodu łowieckiego wspólnego w myśl ustępu 2 art. 8 prawa łowieckiego składa się z jednego większego majątku o powierzchni 1000 ha i z 102 mniejszych działek, z których każda ma po 10 ha i że razem te 2020 ha stanowią nieprzerwaną powierzchnię. Przypuśćmy dalej, iż właściciel 1000-hektarowego majątku ociąga się z tych lub innych względów z zarejestrowaniem swych gruntów, jako obwodu własnego. Właściciele drobnych działek, stanowiąc więcej niż połowę całego obszaru (art. 13 prawa łowieckiego), zawiązują spółkę łowiecką wbrew woli właściciela majątku, przyczem w myśl art. 19 mają oni 510 głosów w spółce, a właściciel większej własności — tylko 500. Wątpię, czy podobne majoryzowanie w sprawach łowiectwa większej własności przez własność mniejszą leżało w intencji ustawodawcy. Pomijając jednak tę kwestję, muszę zaznaczyć, że wykładnia, jaką stosuje Dr. Kałuski, przeczy przedewszystkiem wyraźnemu brzmieniu art. 7, który głosi, że „jeżeli **obszar** polowania nie stanowi obwodu łowieckiego własnego" i t. d. Ustawa używa niedwuznacznie wyrazu „obszar", z czego bezsprzecznie wynika, że chodzi tu tylko o takie działki gruntowe, które przez obszar swój nie odpowiadają wymogom dla utworzenia obwodu własnego. Dodanie przez d-ra Kałuskiego komentarza „obojętne, czy z powodu braku odpowiedniej powierzchni, czy z powodu niezarejestrowania przez właściciela swego terenu, jako obwodu własnego" — jest całkiem dowolne, gdyż gdyby ustawodawca miał na względzie inne wypadki poza warunkami obszarowymi, to dodałby zdanie „lub jeżeli właściciel gruntu stanowiącego obszar odpowiedni dla utworzenia obwodu łowieckiego własnego nie rejestruje go jako obwód własny", — czego jednak nie uczynił.

Możnaby mi zarzucić, iż interpretacja, którą podaję, stanowi uprzywilejowanie obwodów łowieckich własnych. Bezwątpienia. Ale ustawa łowiecka zna i inne „przywileje" dla obwodów własnych w porównaniu z obwodami wspólnymi, że wspomnę tylko: 1) prawo właściciela obwodu własnego do samodzielnego użytkowania polowania, wówczas gdy właściciel obwodu wspólnego (spółka łowiecka) może je użytkować tylko przez wypuszczenie w dzierżawę, 2) minimum 100-hektarowe, które dla obwodów własnych jest regułą, a dla obwodów wspólnych tylko nadzwyczajnym wyjątkiem.

Niezależnie od wywodów powyższych może powstać pytanie, czy wykładnia, którą podałem, nie będzie ze szkodą dla łowiectwa? Sądzę, że nie będzie. Wypadki rozmyślnego nierejestrowania swych obszarów jako obwodów własnych przez właścicieli większych jednostek gruntowych (t. j. 100 ha i wyżej) należeć będą do rzadkości. Zresztą na terenach nierejestrowanych nikt wogóle nie będzie miał prawa polowania, a przeto interes łowiectwa nic na tem nie ucierpi, wyjąwszy chyba wypadki, gdy na tych terenach będą miały ostoje wilki lub dziki. Wtedy jednak wojewoda bądź na wnio-

sek poszkodowanych bądź z urzędu zarządzić może polowanie przymusowe na koszt właściciela terenów (art. 72). W innych wypadkach, gdy właściciel obszaru większego niż 100 ha sam zechce — dla celów łowieckich — połączyć swój obszar z obszarami sąsiedniemi, połączenie takie da się uskutecznić w inny sposób, niż w drodze utworzenia obwodu łowieckiego wspólnego „mieszanego". Trzeba pamiętać, iż „obszar polowania" nie jest wcale pojęciem identycznem z „obwodem łowieckim". Obwód łowiecki jest jednostką gruntową prawnołowiecka, natomiast „obszar polowania" może się składać zarówno z jednego obwodu, jak i z sumy obwodów (tylko własnych, tylko wspólnych lub wspólnych i własnych), na których dzierżawca ma prawo polowania. To też w praktyce, gdy w interesie łowiectwa leży połączenie danego obwodu łowieckiego własnego z obszarami sąsiedniemi, cel ten osiągnąć można w sposób trojaki: a) albo właściciel obwodu własnego wydzierżawi dla siebie polowanie na obwodach sąsiednich własnych i wspólnych, b) albo wypuści w dzierżawę polowanie jednemu z właścicieli obwodów sąsiednich własnych, c) albo wreszcie osoba trzecia wydzierżawi polowanie na całym kompleksie gruntów, które w interesie łowiectwa powinny być połączone w jeden „obszar polowania".

W końcu zaznaczyć muszę, iż znany mi jest fakt odmowy zarejestrowania przez jedno ze Starostw (Woj. Wileńskiego) takiego obwodu wspólnego „mieszanego" właśnie na podstawie art. 7 prawa łowieckiego. Właściciele gruntów odwołali się



Z Wileńszczyzny. Fot. J. Bończa-Markowski.

do Województwa, które decyzję Starostwa zatwierdziło, zaś odpis swej decyzji, jako zasadniczej, przedstawiło Ministerstwu Rolnictwa. Ministerstwo Rolnictwa w ciągu kilku miesięcy zarządzeń żadnych w tej sprawie nie wydało, z czego należy wnosić, że stanowisko władz wojewódzkich milcząco zaaprobowało.

II. Inna uwaga d-ra Kaluskiego obeszła mnie już tylko jako myśliwego. Na str. 20 swej książki



Bagno poleskie. Fot. J. W. Krauze.

pisze Sz. Autor: „zresztą z zezwoleń takich (t. j. wydanych na podstawie art. 27) korzystać będą z reguły tylko t. zw. myśliwi od święta i niedzieli. Prawdziwy myśliwy uważa sobie za punkt honoru mieć własny teren łowiecki".

Przypuszczam, że chyba słowa powyższe są zwykłym „lapsusem", nieoddającym istotnej myśli Sz. Autora. W przeciwnym bowiem razie, gdyby słowa te brać dosłownie, należałoby mniemać, iż Sz. Autor wykreśla za jednym zamachem z elity prawdziwych myśliwych tych wszystkich, którzy nie są właścicielami obwodów własnych, w szczególności — członków towarzystw łowieckich, ludzi nieraz bardzo na polu łowiectwa zasłużonych, a którzy bądź polują na terenach dzierżawionych przez towarzystwa, bądź za zaproszeniami swych znajomych i przyjaciół. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem bezkrytycznej demokratyzacji łowiectwa, sądzę jednak, że takie ujęcie sprawy „pisemnych zezwoleń" byłoby conajmniej — jednostronne.

Wilno, w czerwcu 1928 r.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI
mag. praw
człon. zarz. Tow. Łow. Woj. Wileńskiego.

Czy pies myśliwski może zwietrzyć kuropatwę w okresie lęgowym?

Kwestję tę porusza p. Kazimierz Świderski w swoim artykule p. t. „Jakie uwagi z dziedziny tajemnic przyrody nasunęły ostatnie wiosenne próby psów polowych", umieszczonym w Nr. 25 „Łowca Polskiego" bieżącego roku, wzywając polskich myśliwych do wypowiedzenia się w tej sprawie i dopatrując się w niej, zarówno on jak i cytowany przez niego niemiecki autor, jakiejś tajemniczości i nierozwiązanych zagadek. Dla mnie osobiście sprawa ta zagadką nie jest. Że psy myśliwskie naogół gorzej zawietrzają ptactwo łowne wiosną niż o innej porze roku, jest faktem stwierdzonym, jak również, że częstokroć wiosną psy zawietrzają zupełnie normalnie. Chodzi o wytłumaczenie tych zjawisk. Zasadniczą odpowiedź podaje sam p. Świderski w swym artykule, cytując następujące słowa niemieckiego autora: „Równomierne wydzielanie normalnego odwiatru u zdrowego stworzenia zależne jest od regularnej i właściwej danemu gatunkowi przemiany materji. Przemiana materji uwarunkowana jest przez przyjmowanie pokarmu, ruch towarzyszący poszukiwaniu pożywienia, oraz, następujący potem proces trawienia. Jeżeli więc dla jakichkolwiek względów ten porządek rzeczy bywa naruszony, np. w przyjmowaniu pożywienia pod względem czasu i ilości, jeżeli nastąpi zmiana w rodzaju pokarmu, zmieni się wogóle tryb życia, zabraknie zwykłego ruchu, nastąpi wówczas w cało-

kształcie organizmu stworzenia, w związku z temi zmianami, wstrzymanie pewnych procesów, w tej liczbie wydzielanie normalnego odwiatru". Powyższym teoretycznym, znakomicie ujętym poglądom niemieckiego autora nic zarzucić nie można. Zwróćmy się więc do praktyki, do kwestji zachowania się zwierzyny, w szczególności ptactwa, w okresie godowym. Myśl o kontynuowaniu gatunku absorbuje, jak powszechnie wiadomo, w tym okresie całą istotę ptaka. Natura stroi go na ten okres w ozdobne i rzucające się w oczy upierzenie, (zapominając o prawie mimicry) każe mu śpiewać, krzyczeć, zaniedbywać zwykłych środków ostrożności, wreszcie — co dla naszej kwestji ma pierwszorzędne znaczenie — mało jeść. Wiadomo też, że w czasie okresu godowego wszelka zwierzyna w szczególności zaś ptactwo — znacznie chudnie. Ciekawem jest mimochodem zaznaczyć, że, o ile idzie o świat ptaków, natura jako środki odszukania i zdobycia samicy dała głos i barwę, zaś w świecie zwierząt ssących jako takie środki wybrała głos i przedewszystkiem specjalny odór (Brunftduft), jakby specjalnie uwzględniając, że głównym organem zmysłów u jednych jest wzrok, u drugich zaś powonienie (Augen und Nasen - Tiere). Znaną jest rzeczą, że np. łosia, jelenia, dzika, nawet człowiek w tym okresie „może zawietrzyć". Mógłby to niewątpliwie uczynić także w odniesieniu i do innych ssaków, gdyby miał trochę lepszy „wiatr". Gdy więc w okresie godowym zwierzyna, w szczególności zaś ptactwo, zmienia całkowicie swe zachowanie i obyczaje, a w dodatku mało je i przyjmuje inny pokarm niż jesienią, nic dziwnego, że odwiatr wydzielany przez nią w tym okresie jest odmienny, i w dodatku, słabszy.

W odmiennem więc zachowaniu się i w odmiennem i ograniczonem odżywianiu się znajduje się zasadnicze wyjaśnienie interesującego faktu. Tutaj jednak należy zwrócić uwagę, że w samem postawieniu kwestji wkradła się dwuznaczność mająca bardzo duże znaczenie przy ocenie interesujących zjawisk i udzieleniu odpowiedzi. Należy mianowicie ściśle rozróżniać w „okresie lęgowym" okres „zalotów" i okres „wysiadywania" (Brutgeschäft). Nie zostało to przy ostatniem pytaniu rozróżnione. O ile w okresie zalotów zachowanie ptactwa, jakkolwiek odmienne, nie wykazuje jeszcze zbytnich różnic z zachowaniem się w innej porze roku — ptak jest tylko bardziej ożywiony i znacznie więcej biega i lata — (stąd wypadki „normalnego" wystawiania w tym okresie kuropatw w parach), o tyle, w okresie ścisłego wysiadywania jaj, zachowanie się ptactwa jest już zupełnie odmienne od zwykłego. Wysiadujący ptak do minimum ogranicza swe funkcje życiowe, szczególniej ruch i przyjmowanie pożywienia, ukrywa starannie swe gniazdo, milknie, i, niewątpliwie, jeśli jest zmuszony do opuszczenia gniazda, ucieka się do różnych forteli, aby tylko nie pozostawić po sobie zdradzieckiego odwiatru. Mam przekonanie, że wszystkie ptaki (mowa o wysiadujących na ziemi) w czasie wysiadywania wogóle nie opuszczają swego gniazda i nie wracają do niego „na piechotę", a chyłkiem zrywają się wprost z gniazda lub zalatują wprost na nie, aby tylko w jakikolwiek sposób nie zdradzić miejsca, gdzie się znajduje. Ciekawem byłoby zauważyć, stwierdzić i opisać te manewry w odniesieniu do poszczególnych gatunków ptaków. Tutaj dopiero, w stosunku do wysiadujących ptaków (Brütendes Rebhun w ścisłem znaczeniu) występują jaskrawo wszystkie zjawiska, o których pisałem swego czasu na łamach „Łowca Polskiego" w artykule p. t. „Wiatr i odwiatr". Tu dopiero okazuje się, jak dalece szukanie wyżła jest szukaniem przedewszystkiem śladów, i jak dalece nie jest obojętnem dla wyników tego szukania, czy zwierzyna jest w ruchu, czy też siedzi przycupnięta w ukryciu. Ptaka, który oddawna przycupnął w pewnem miejscu, lub, naprzykład, spadł z góry zabity, gdy w dodatku jeszcze powietrze jest spokojne, najlepszy wyżeł nie zawietrzy na krótką nawet odległość. Tem się tłómaczą częstokroć wypadki wpadania na kury, przeskakiwania zabitej kuropatwy i t. p. uchybienia szukającego wyżła. Że i zwierzyna z tej okoliczności zdaje sobie doskonale sprawę, za dowód służyć mogą te rozmaite manewry, do których się ucieka, aby się tylko przed psem i myśliwym ukryć. Spłeszone kury, szczególniej młode, po zapadnięciu ponownem, zwłaszcza rozbite, nie biegają, a leżą kamieniem, stąd powszechnie znana trudność odszukania zapadłej „pojedynki". I wysiadujące ptactwo, jak już wspomniałem, niewątpliwie ucieka się do podobnych manewrów. Gdy się doda, że z powodów wyżej wymienionych wydziela ono odwiatr w zmniejszonej ilości, że siedzi w wybranym na gniazdo dołku, starannie ukrytym i ochronionym od wiatru, to staje się zrozumiałem, że zawietrzenie w tych warunkach jest dla psa, a także i dla drapieżników w tym okresie zadaniem niełatwem, częstokroć nierozwiązalnem. Z okoliczności tych przy próbach psów należy sobie jasno zdawać sprawę, i bacznie na wszystko zwracać uwagę, aby przy ocenie wiatru psa nie wydać ujemnego sądu tam, gdzie warunki zawietrzenia były specjalnie trudne, lub gdy zawietrzenie wogóle było niemożliwem. Z powyższego wypływa również, znana zresztą zasada, że wiosennych prób polowych nie należy urządzać zbyt późno, gdy kury w przeważnej liczbie siądą już na jaja.

WALENTY WŁODZIMIERZ GARCZYŃSKI.

B Ą K.

SZKIC PRZYRODNICZY.

Bąk czyli czapla bąk (Ardea stellaris, albo Botaurus stellaris) należy do ptaków przelotnych. Przylatuje do nas z afrykańskich leży zimowych późną wiosną, zazwyczaj dopiero w maju, a odlatuje wczesną jesienią, z końcem sierpnia lub początkiem września. Przebywa na obszarze całej Polski, w miejscach bagnistych, trzciną porosłych, lecz nigdzie licznie nie występuje. Jako prawdziwie nocny ptak we dnie śpi lub zachowuje się cicho, ukrywając się w gąszczach, a dopiero po zachodzie słońca wychodzi z kryjówki i przez całą noc żeruje.

Bąk należy do rodziny czaplowatych, lecz jest znacznie od czapli siwej mniejszy, długość jego bowiem wynosi najwyżej 70 cm. Upierzenie na całem ciele przeważnie żółtawo gliniaste, wierzch głowy czarny, plecy upstrzone czarno - zielonemi barwami. Na tyle głowy ma długie szerokie pióra, które może dobrowolnie na kształt kołnierza nastawiać. Dziób i oczy ma również żółte, nogi zielonkawe, wogóle całe jego upierzenie jest jak najlepiej do otaczającej go przyrody dostosowane.

Miejsce na gniazdo wybiera nadzwyczaj przezornie, uważając przedewszystkiem na to, aby z brzegu nie można było go dostrzedz. Budową gniazda zajmuje się zazwyczaj samica, chociaż i samiec niekiedy coś pomaga. Na spodnią warstwę

gniazda używa stare łodygi trzciny i połamane badyle ponad wodą wystające, które sitowiem, liśćmi szuwaru i świeżemi źdźbłami trzciny ze sobą kunsztownie wiąże. Samiczka w czasie budowy gniazda ani na chwilę nie próżnuje, a nawet gdy już jajka zniesie, nieraz jeszcze poprawki i ulepszenia w konstrukcji gniazda przeprowadza. Z początkiem lub w połowie czerwca składa samica trzy do czterech, a czasem nawet pięć błękitnawo-białych o silnie połyskującej skorupce jajek, z których w 17 dniu wylęgają się młode. Już w czasie wysiadywania jaj samica okazuje wielką miłość macierzyńską. W razie grożącego niebezpieczeństwa nie zważa na siebie, wspina się na otaczające gniazdo trzciny, wydając przytem żałosny krzyk, podczas gdy samiec w pobliżu gniazda w gęstej trzcinie ukryty, obserwuje nieprzyjaciela i pojedyńczem trwożliwem dukaniem w biadaniu małżonce pomaga. Gdy niebezpieczeństwo minie, małżeństwo zaraz się uspokaja, a samica sadowi się na skraju gniazda, przyglądając się jajkom tak zastanawiająco, jakby je policzyć chciała. Po chwiii zbliża się do gniazda samiec, aby się przekonać, czy wszystko jest w należytym porządku. Młode bardzo czule pielęgnują rodzice. Pisklęta w puchu są nieładne, puch na nich długi i rzadki, barwy jasno rdzawej, nogi i dziób koloru ciała, a odstający puszysty czubek na głowie upodabnia ich do małych skrzydeł. Przytem młode są strasznymi żarłokami, którym starzy nawet we dnie czasami pożywienia dostarczać muszą. Przyniesione przez rodziców w rozszerzonej skórze szyi, ryby, kołpierze i wodne ślimaki przyjmują młode na krawędzi gniazda i połykają za pomocą charakterystycznego wykręcania szyi.

Gdy młode są już lotne, rodzice nagle je opuszczają, jak gdyby nigdy nie miały z niemi nic wspólnego. Potomstwo błąka się jakiś czas bez rodziców, aż ich popęd do wędrówki ogarnie, a wówczas wznoszą się niewprawnemi jeszcze skrzydłami w przestworza i dążą przez góry w bezkresną dal do nieznanego celu.

Bąk naogół jest stworzeniem nader dziwacznem i poniekąd tajemniczem, zwłaszcza co do jego postaci i sposobu życia przy specjalnie ochronnem ubarwieniu. Puszyste jego upierzenie pozwala mu przy pomocy odpowiednich muskułów zmieniać swą postać. Zależnie od okoliczności raz skurcza się i przykuca w jajowatą bryłę, to znów z tego położenia błyskawicznym ruchem wyciąga się prostopadle w górę, tak że raczej podobnym jest do jakiegoś kołka, aniżeli ptaka. Wybiegu tegu używa regularnie, jeżeli mu zagraża jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Najeżywszy upierzenie szyi, z dziobem do góry skierowanym, a grzbietem prawie prostopadle opadającym pozostaje potem długo w wyprostowanej postawie, tylko chytre oczka zdradzają, że zakłócenie spokoju dobrze obserwuje. Jeżeli jednak przekona się, że pomimo użytego fortelu rozpoznano go, to unika wedle możności użycia skrzydeł, aby się poza obręb chroniących go zarośli wydostać, lecz przenosi się bez szelestu przez plątaninę łodyg trzcin i szuwarów, aby dalej znaleźć jakieś miejsce w gąszczu lepiej na kryjówkę się nadające. Przytem okazuje się, iż bąk jest nadzwyczaj zgrabnym akrobatą, wcale mu to trudności nie sprawia, czy ma uchwycić nogą poziomo, czy też prostopadle napotkaną łodygę. Jedną nogę przyciąga do siebie, drugą daleko wysuwa i długimi, ostropazurowatymi palcami nieraz dwie lub więcej łodyg obejmie i w ten sopsób wspina się szybko i pewnie do najwyższych wierzchołków trzcinowego gąszczu i tam śledzi spokojnie, ukryty dobrze pod liśćmi i wiechami trawy, zagrażające mu niebezpieczeństwo. Jeżeli go w kryjówce bardzo niepokoją i w jaki sposób wypłoszą, wówczas zrywa się, aby przy pomocy skrzydeł ujść w bezpieczniejsze miejsce. Jego lot jest początkowo szybkiem trzepotaniem, następnie nabiera kierunku, staje się ciągły i spokojny, przyczem szyję ściąga tak, że głowa siedzi tuż na karku, a nogi podaje w tył. Wznosi się zazwyczaj kilka metrów ponad trzcinę i znowu zapada po kilku nagłych i niespodziewanych zwrotach. Wogóle z pośród ptaków bąk jest poprostu artystą w ukrywaniu się przed wzrokiem ludzkim, a trzeba bardzo wprawnego oka, aby jego kryjówkę odnaleźć, zwłaszcza, że ma doskonałą barwę ochronną.

O zmroku opuszcza miejsce odpoczynku, aby się udać na żerowisko. Brodzi po płytkiej wodzie i czyha uważnie na małe rybki, kołpierze i wodne robactwo, które błyskawicznym ruchem łowi. Jego chód i postawa są przytem poważne; natrafiwszy w czasie swych patroli na jakie większe stworzenie, jak n. p. na jakiegoś wodnego ptaka lub ssaka, staje wówczas jak wryty, cofa głowę do piersi, najeża upierzenie grzbietu, obserwując uważnie każdy ruch napotkanego stworzenia, gotów na każde nieprzyjazne zaczepki przeciwnika zareagować swym dziobem, jako jego jedyną zaczepno-odporną bronią.

Rzadko jednak się zdarza, aby przeciw niemu, któreś z pomniejszych stworzeń odważyło się wystąpić, gdyż bąka wszyscy współmieszkańcy jeziora respektują.

Bąk przez całą noc jest w ruchu, albowiem mając wilczy apetyt, potrzebuje znacznej ilości pożywienia, aby się nasycić. Jako smakosz woli młode liny i karasie, aniżeli inne ryby, w potrzebie jednak nie gardzi nawet błotnymi piskorzami.

Samiec wydaje nocą donośny głos, zanurzając przytem koniec dzioba w wodzie. W czasie deptania dukanie zakochanych samczyków także i we dnie się rozlega.

Życie prowadzi samotne, tak samo w zamorskie wędrówki gromadnie się nie wybiera. Toby były krótkie uwagi i spostrzeżenia o bąku, jakie od szeregu lat zaobserwowałem. Może ktoś z Szan. Konfratrów z reguły św. Hubetra dołoży też kilka słow, aby w ten sposób otrzymać jego dokładny opis.

JAN ŻARNOWSKI.

PLAGI ŻYWIOŁOWE I CHOROBY WROGAMI UŻYTECZNEJ ZWIERZYNY ŁOWNEJ.

Nietylko człowiek i czworonogi drapieżnik, czy też morderca skrzydlaty czyhają i dybią na życie zwierzyny łownej. Grozi jej bowiem zagłada i zguba skądinąd jeszcze. Wielkie spustoszenie w jej nielicznych już szeregach szerzą wypadki i plagi żywiołowe, jako też zakaźne choroby, które grasują wśród zwierząt bardzo często i w wysokim stopniu zaborczości.

Do plag żywiołowych, redukujących bardzo przyrost, należy ostra i sroga zima, w czasie której jelenie, daniele i sarny zapadają na t. zw. konsumpcję, t. j. ogólne wyniszczenie, spowodowane żywieniem się tylko twardemi gałązkami, z braku innego mieszanego pokarmu. Zawalna zima jest grobem dla biednych kuropatw; giną one z głodu, nie mogąc dostać się do pożywienia pod

głębokim śniegiem. Wtedy prawdziwy „de re et nomine“ myśliwy winien pośpieszyć im na ratunek, odgrzebując zieleń z pod śniegu, czy też sypiąc hojnie ziarno. Skutkiem głębokiego śniegu zwierzyna kładzie się rzadziej na spoczynek, częściej chodzi i biega, nabawiając się zapalenia płuc (najczęściej sarna) kończącego się śmiercią.

Groźne lawiny z wiosną zmiatają z powierzchni ziemi wszelkie istnienie. Pożary łąk, stepów i lasów niszczą po drodze wszelką zwierzynę srodze, brutalnie i bez rekursu. „Wiatr gna płomienie, a rozhukany żywioł leci i pochłania w piekielnym pochodzie wszystko, a w ślad za nim idzie pustka... martwota... śmierć“. Tak pisze francuski autor Edward Foa w swem dziele p. t. „Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej“. A gdyby nawet zwierzyna zdołała unieść swe życie z pośród płomieni, to samo zniszczenie jej miejsc pobytu jest ciężką klęską dla zwierzostanu.

Oberwania się chmur, wielkie burze i grady, długotrwałe deszcze, powodzie wiosenne w porze lęgu i w pierwszym okresie życia stają się często klęską i ruiną zwierzostanu. Znany hodowca i myśliwy, zarządzający wielkimi rewirami łowieckimi w Niemczech — Hegendorf, w dziele p. t. „Podręcznik dla dzierżawców polowań“ pisze, że w r. 1905 dnia 10 sierpnia w Wielkiem Ks. Badeńskiem, na równinie nad Renem, padał grad tylko w przeciągu pięciu minut i wyrządził tak straszliwe straty wśród zwierzyny, że znaleziono tysiące martwych bażantow i kuropatw.

W r. 1910 nawiedził olbrzymi grad majątki ks. Hohenlohego na Śląsku. Grad ten nietylko zniszczył wszelkie zasiewy, ogrody i drzewa w sadach, ale zabił 5.000 bażantów, mnóstwo zajęcy, sarn, jeleni, jednego konia i wiele sztuk drobniejszego inwentarza. Pięciu pastuchów, którzy nie zdołali się ukryć przed gradem, zginęło w polu pod uderzeniem kul gradowych wielkości pięści.

Dnia 22 lipca 1910 r. puszczono w Nantes, we Francji sześć tysięcy gołębi pocztowych do Anglji. Burza i huragany zniszczyły nie mniej jak 5.000 sztuk, a z pozostałego tysiąca część zawróciła z drogi, a inne zdołały dotrzeć do celu.

W roku 1890 znaleziono na Śląsku pruskim dwoje starych i piętnaścioro młodych kuropatw, które leżały główkami do siebie, rażone piorunem.

Niestety, wobec tych wszystkich wypadków niezależnych od człowieka, a spowodowanych siłą wyższą, jest — naturalnie — myśliwy - hodowca bezbronny i bezsilny. Wiedząc o tem, winien tem intensywniej rozwinąć swą pomoc tam, gdzie ona ratunek, ulgę i chwile szczęścia zwierzynie przynieść może.

Wzmiankę tu wreszcie uczynić potrzeba, że do plag okrutnych należy też i wojna, straszna w swych skutkach, bez względu na to, czy wygrana, czy przegrana. W sposób bolesny przekonaliśmy się o tem dzięki wojnie światowej, która między innemi przyniosła tragedję żubra polskiego*), łosia wzięła na etat wymarcia, a bobrów w całej Polsce zostało też niewiele.

Są połacie kraju naszego, gdzie w czasie wojny na wystraszoną i prześladowaną zwierzynę polowało i tępiło ją 40 narodów zamieszkujących Rosję i 16 narodów zamieszkujących Austrję i Niemcy. I tak np. w ogromnym rejonie fortecznym pod Przemyślem wybito zwierzynę doszczętnie, strzelając do niej salwami. W rewirach w Rozwadowie n. Sanem z 300 jeleni pozostało 10 sztuk, a bażantarnia przestała istnieć. Ze Skolszczyzny wagonami wywożono „jeleninę“. W sławnych rewirach Spały jeden żołnierz miał na rozkładzie dwanaście jeleni, a polowały przecież całe bataljony i pułki, a ciężkie karabiny maszynowe siały śmierć po lasach i borach. Strzelano co pod lufę wlazło, czyniąc straszne jatki. Pilawin, ta Mekka polskich myśliwych, najwspanialszy zwierzyniec w Europie założony ręką polskiego magnata Józefa hr. Potockiego, a wzbudzający wśród cudzoziemców zachwyt, padł ofiarą furji zezwierzęconego żołdactwa rosyjskiego i zrewoltowanego tłumu chłopskiego. Najkrwawsze jednak hekatomby złożyły bogu wojny bez wątpienia sarny, które ufne w to, że im człowiek nic nie zrobi, patrzyły zdziwionem okiem na to bydlę, które je doszczętnie niszczyło. Bicz wojny dał się we znaki nietylko ludziom, ale i biednej zwierzynie, która naprawdę „przeszła krzyż Pański“.

Nieobliczalne i nie do wyrównania wprost szkody powodują w zwierzostanie liczne choroby, a szczególnie infekcyjne. W wieku XVIII ogromny pomór zniszczył przeważną ilość żubrów, żyjących w Prusiech Wschodnich. W roku 1910 ilość grubszej zwierzyny t. j. żubrów, jeleni, łosiów, sarn i dzików wynosiła w puszczy białowieskiej 30.000 sztuk. Zaraza gwałtowna, epizootja, zwana „bolingeszką“ od nazwiska uczonego, który odkrył jej laseczniki, a która w owym roku wybuchła w puszczy z powodu nadzwyczaj suchego lata, przerzedziła zwierzynę do tego stopnia, że przed wybuchem wojny w 1914 r. naliczono jej zaledwie 16.000 sztuk. Samych żubrów padło wtedy około 50 sztuk. Żubra uśmierca pryszczyca, pleuropneumarja, szelestnica i świdrowiec, żyjący we krwi.

W roku 1897 padło w Szwecji na wąglik przeszło 800 renów.

Wśród reniferów w całej północnej Norwegji wybuchła w r. 1911 — 12 groźna zaraza, która porwała przeszło 20.000 sztuk tego użytecznego zwierza, powodując wśród tamtejszych plemion głód i nędzę. W Szepetówce w r. 1901 padło u J. hr. Potockiego około 70 dzików z powodu t. zw. „róży świńskiej“ czyli „czerwonki“.

W roku 1910 był w Czechach pomór jaskółek z powodu zimnego lata, wówczas w okolicy Przybramu leżały na ziemi setki martwych jaskółek. W r. 1894 padł ofiarą cholery grasującej nieraz wśród ptactwa, jeden z białych łabędzi na sadzawce w Saskim Ogrodzie w Warszawie.

Zasadniczą podstawą naszego łowiectwa to przedewszystkiem zając, potem kuropatwa i sarna. Przypatrzmy się szczegółowiej chorobom, jakim podlegają te trzy gatunki naszej zwierzyny łownej.

Zając choruje zasadniczo na wątrobę i płuca. Na wątrobie powstają żółte centki, w których żyją wągry. Wągier taki zjedzony później przez psa lub inne zwierzę wywołuje u niego solitera. Bywają wypadki, że soliter pojawia się też i u zająca. Wiktor Stephan powiada, że na Węgrzech w r. 1895 znaleziono w jamie brzusznej zająca tasiemca 2,5 m. długości.

Rozmaite gruczoły, pęcherzyki i pasorzyty na wątrobie, pęcherzu moczowym, na grzbiecie, kiszkach, a głównie na kiszce odchodowej i na częściach płciowych, są bardzo niebezpieczne i powodują śmierć.

Gruźlica płuc powodowana żyjątkami, które dostają się do organizmu wraz z pożywieniem, wywołuje pokaźny procent śmiertelności.

Groźnym wrogiem rodu zajęczego jest pasorzyt t. zw. motylica. Dostaje się ona do wnętrza zająca przez pokarm lub przy piciu wody i wywołuje rozpad t. j. gnicie wątroby, a z tem zadecydowaną śmierć.

Dżuma zajęcza, na którą zające padają masami, jest niezmiernie zaraźliwą, a wywołują ją zarazki, rozwijające się we krwi i powodujące zapalenie kiszek i żołądka.

*) „W kwietniu 1919 roku padł z ręki kłusownika ostatni żubr białowieski, podobnie jak w połowie XVIII wieku padły z rąk brakonjerów ostatnie żubry w Siedmiogrodzie i Prusiech Wschodnich“. (Łowiec Polski Nr. 1 r. 1924).

W niektórych okolicach Alzacji ginęły zające nagle na bezkrwistość.

Ulegają wreszcie zające silnemu rozwolnieniu, jakoteż trapione są przez parchy i świerzby, które są chorobą nader zaraźliwą. Wesz zajęcza nie zagraża wiele życiu zwierzęcia.

Kuropatwa zapada najczęściej na choroby dzioba, krtani, języka, przełyku i biegów. Nie mając odpowiednio twardego pokarmu, o któryby kuropatwy pocierały narastający dziób, wyrasta on krzywo i staje się powodem schudnięcia i śmierci wreszcie; choroba krtani, t. zw. dyfteryt objawia się zachrypnięciem i charczeniem co pewien czas, spowodowanem przeziębieniem skutkiem zimnych wiatrów.

Tam gdzie te ptaki mają wyłącznie twardy pokarm do spożycia, twardnieje im bardzo często koniec języka. Choroba ta utrudnia wysoce normalne odżywianie się, ptaki chudną i łatwiej giną.

T. zw. pypeć, na który giną również kury domowe, jest chorobą przełyku, którą wywołują pasorzyty, żyjące na glistach, a które po spożyciu dostają się do przełyków ptaków, powodując silne dławienie. Choroba to wielce niebezpieczna.

Skutkiem długotrwałej, ostrej zimy zapadają kuropatwy na biegi, gdzie pojawiają się brodawkowate narośla, rodzaj strupków napełnionych materją, które pękając, jątrzą następnie ciało głęboko, bo aż do ściegien często, powodując ciężkie kalectwo, kończące się wycieńczeniem i śmiercią.

Glinjasta ziemia, po której chodzą te ptaki, nalepia im się na palce, tworząc gałki, które — jak kajdany — utrudniają nieraz w zupełności chodzenie i kuropatwa ginie śmiercią głodową. Oderwanie się tych gałek jest trudne i prawie zawsze połączone z poważnem uszkodzeniem palców. Wreszcie prześladuje to biedne ptactwo choroba zaraźliwa zwana jaszczurem, pojawiająca się na stopkach, a wywołująca ropne rany na całej nieupierzonej części biegów.

Nadmierne spożycie liści rzepaku jest przyczyną ginięcia skutkiem silnej biegunki. Cierpi też bardzo to stworzenie przy każdorazowem linieniu. Podrzędnego znaczenia są pasorzyty, jak wesz ptasia i kleszcz, nawiedzając chętnie kuropatwy.

Wielorakie też choroby nawiedzają sarnę, tę już tak skąpą ozdobę naszych lasów. Pasorzyt zwany krzewiakiem wywołuje zapalny stan żwacza t.j. pierwszego żołądka i jelit, zwierzę dostaje biegunkę, chudnie, słabnie i ginie nieraz. O wiele groźniejszą jest jednak biegunka krwawa, która jako choroba infekcyjna, przerzedza znacznie szeregi sarnie.

Pojawiają się też często choroby płucne, jak suchoty, różne zapalenia i wrzody. Wywołują je gąsienice muchy (Cephenamya stimulator), prowadzące żywot pasorzytniczy w nosie i krtani zwierzęcia. Sarna przeważnie ulega tym chorobom. Inny owad (Strongylus filaria), żyjący w przewodach i kanalikach oddechowych, powoduje śmierć sarny skutkiem zgnicia płuc. Wiktor Stephan w monografji „Sarna" pisze, że w okolicach Metzu zginęło na tę chorobę w r. 1893 i 1894 na przestrzeni 3.000 morgów lasu 300 sztuk sarn.

Motylica nawiedza wątrobę, rozkłada ją i przynosi śmierć. Powoduje też ona blednicę, katar kiszek i puchlinę wodną. Zwierzę, cierpiące na te choroby, spada z ciała, traci siły, marnieje i kończy swój żywot.

Narówni z bydłem domowem giną sarny i inne zwierzęta na ciężkie choroby, jak karbunkuł, księgosusz, choroby racic i pyska. Zdarzają się tu i ówdzie wypadki, że sarna cierpi, a nawet pada na solitera. Gdy się ten pasorzyt dostanie do jej mózgu, zwierzę ginie na kołowaciznę.

Skutkiem jednostronnego odżywiania się w zimie szczególnie ostrym pokarmem, zapadają sarny na chorobę nerkową, plamiąc wtedy śnieg na czerwono.

Szpilki drzew spożyte w większej ilości, zatykają kiszkę odchodową lub ranią i kaleczą trzewia; wtedy sarna pada ofiarą.

Zdarzają się też wśród sarn reumatyczne zapalenia stawów, wywołane skutkiem zimna i wilgoci.

Bezbronne to stworzenie atakowane jest wreszcie, choć mniej groźnie, przez różne muchy, kleszcze i inne pasorzyty skórne i podskórne.

Prócz zająca i sarny zapada na motylicę daniel, jeleń, żubr i kozica. Jeleń i daniel giną też na pryszczycę.

Łosie w czasie kanikuły zapadają na djarję, cierpią na puchlinę, wrzody w gardle, które pękają i o śmierć je przyprawiają, giną też na suchoty. W r. 1904 księgosusz przerzedził szeregi łosi w gubernji mińskiej.

Bażanty chorują na pypeć, nadętość wola, na chudnięcie z powodu tłustej narośli tworzącej się pod ogonem, na zatwardzenie i biegunkę wywołaną zwykle chłodną a słotną porą i na zapalenie kiszek.

Cierpią też zwierzęta (łosie, reny) na wąglik, zwany dawniej zapaleniem śledziony, giną na porażenie mózgu i otłuszczenie, na zatrzymanie moczu, giną nawet na obłąkanie, toną w błotach etc. etc. Jednem słowem, prócz chorób, istnieje moc nieszczęśliwych wypadków, które pojawiają się pod różnemi postaciami, a które wywierają ujemny wpływ na stan liczebny zwierzyny. Wypadki te są czasami bardzo ciekawe. W r. 1888 pisał Kaz. hr. Wodzicki te słowa: „Sarny wyjadając koniczynę w połowie sterty coraz głębiej, nie zostawiły nareszcie oporu wiatrom. Otóż jednego dnia rozhukany uragan uderzając w wierzchnią część sterty, zerwał całą jej połowę i ciężar upadającej koniczyny udusił mi na śmierć trzy młode i starą siutę, zdaje się całą rodzinę. Siedm zdołało uciec".

Pewien leśniczy znalazł bażanta, który zdołał połknąć połowę żmii, gdy druga połowa wisiała mu u dzioba. Ptak i gad były bez życia. Jak człowiek ulega najróżnorodniejszym, nienaturalnym rodzajom śmierci, tak to samo prawo ma pełne obywatelstwo w świecie zwierzęcym.

Wreszcie — rzecz naturalna — ginie zwierzyna na uwiąd starczy, jednakowoż stanowi to procent znikomy, gdyż — niestety! — na życie zwierzyny czyha dziś tyle wrogów pod różnemi postaciami, że mało która dożyje sędziwego wieku i ulegnie naturalnej śmierci.

Wobec tych wszystkich szkód i klęsk wywołanych w zwierzostanie z winy warunków atmosferycznych, nieprzewidzianych wypadków i chorób, jest człowiek — jak wspomniałem — bezsilny. Pomoc i ratunek jego ograniczyć się muszą jedynie do takich rzeczy, jak osuszanie terenów, dostarczanie zdrowej wody i odpowiedniego pokarmu, odstrzeliwanie sztuk chorych a zakopywanie tych, które padły, przesypywanie ekskrementów wapnem i t. p. Nieco więcej zaradzić można tam, gdzie hoduje się zwierzynę sztucznie, w zamkniętych rewirach. Jednakowoż będą to zawsze paljatywne środki, mające znikomy wpływ na zapobieżenie wielkości danej klęski.

Będąc w pełni świadomości tych wszystkich nieszczęść, jakie trapią stale i na każdym kroku naszą zwierzynę łowną, nie powinniśmy jej pozostawiać własnemu losowi, tylko wszędzie ochraniać ją i ratować według wiedzy i sił naszych. Ten, który uznaje pełne prawo zwierzyny do życia, a jest wzorowym i prawdziwym myśliwym, będzie się zawsze uważał za opiekuna zwierzyny, za jej stróża i obrońcę, będzie zapewniał jej egzystencję i ułatwiał rozwój.

Tego wymaga od nas własny nasz interes, sumienie człowieka i pretensja nasza do wysokiej cywilizacji.

J. WŁ. KOBYLAŃSKI.

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ.

CZASY OCHRONNE A TOKI.

W „Wild und Hund" zastanawia się p. R. Kluge i polemizuje z p. Raesfeldem w sprawie czasów ochronnych, dodając charakterystyczną uwagę, że nie czyni tego ze względów osobistych, bo sam już nie poluje, ponieważ jest za stary, a przytem chorowity.

Porusza on najpierw sprawę czasu ochronnego dla jeleni w porze rykowiska, wykazując bezpodstawność żądania zakazu strzelania w tym czasie.

Krótko również załatwia się z projektem zabronienia polowań na kozły, podczas rui, jako zupełnie nieuzasadnionym. Natomiast bardzo obszernie rozprawia się z projektodawcą zakazu polowania na tokach.

Co się tyczy cietrzewi, to najbardziej zainteresowani są w tem właściciele mniejszych terenów. Głuszca zaś żaden prawidłowy myśliwy nie zechce strzelać po zakończeniu toków.

Tutaj autor wtrąca znamienną uwagę: „gdyż u nas (w Niemczech)) stosunki są przecież zupełnie inne, niż w Rosji", nie precyzując jednak, o który punkt odmienny mu idzie. Stwierdza tylko, że dla niemców toki i rykowisko to korona wszelkich polowań, której oni się nie zrzekną bez koniecznej potrzeby.

O sobie, jako starym praktyku, autor opowiada:

Mając niezwykłą obfitość cietrzewi w rewirze, strzelałem z budki, w której zazwyczaj długo przesiadywałem jeszcze po strzale, — za każdym razem tylko po jednym lub dwa koguty. Podobnież w rewirach nader obfitujących w głuszce, odstrzeliwałem co rok tylko jednego z nich. Z jeleni w najlepszym ich rewirze biłem tylko dwa w przeciągu roku. Lecz niezliczoną ilość godzin spędzałem na każdem takiem polowaniu, żeby się zachwycać przyrodą i widokiem żywej zwierzyny, obserwować ją z największem zaciekawieniem. Obserwowanie bowiem zwierzyny i polowanie na nią muszą iść ręka w rękę".

W dalszym ciągu autor polemizuje ze wspomnianym projektodawcą, uważając, że jego poglądy na rzekomy zanik jeleni, cietrzewi i głuszców w Niemczech, są nazbyt pesymistyczne. Nadzieje zaś swoje na dalszą rozmnożę zwierzyny autor opiera na następujących wywodach:

„Rządy i wyższe władze lokalne większości krajów niemieckich, nie wyłączając Prus (tu autor nie motywuje wyróżnienia Prus) nietylko nie są nieżyczliwie usposobione dla myślistwa, lecz owszem, od szeregu lat starały się dźwignąć je z powrotem z upadku, ochraniając zagrożoną zwierzynę. To też w wielu rewirach, nawet w najgorszych, zwierzostan już podniósł się wybitnie. W pruskich rewirach rządowych ograniczono odstrzał jeleni, żeby one prędzej się rozmnożyły.

Cietrzewie w Niemczech, w wypadku wycięcia części lasów lub innych zmian związanych z kulturą agrarną, — przenoszą się do innych rewirów bardziej zalesionych, ale bynajmniej przez to nie giną ani ilość ich się nie zmniejsza. To samo powiedzieć można o głuszcach, mimo, że one mniej chętnie wędrują, niż cietrzewie.

Prawdziwie dotkliwy ubytek głuszców powoduje jedynie zaraza, wybuchająca śród nich, ale takie objawy bywają tylko lokalne i przejściowe. Takie zarazy epidemiczne, spowodowane przez bakcyle i pasorzyty we krwi, zanotowano w sezonie 1918/19 w Szwecji i Czechach, gdzie wiele świetnych rewirów w następnych latach uległo przez to zastraszającemu ubytkowi zwierzostanu głuszcowego. Pomimo to od roku 1925-go po wygaśnięciu zarazy w Szwecji ilość głuszców zaczęła tak się zwiększać, że już na początku roku 1927 zwierzostan głuszcowy powrócił do dawnej normy."

Uwagi swe o głuszcach kończy autor ostrzeżeniem mimochodem, że kto dba o głuszce, powinien w miejscu ich pobytu tępić bardziej kuny leśne, będące największymi wrogami głuszców.

Jedynie co do słonek zgadza się autor na potrzebę zabronienia polowania na nie w czasie ciągów, a przynajmniej żądać należy zakazu tego, począwszy od dnia 31 marca.

Od siebie zaś autor proponuje ustanowienie następujących czasów ochronnych: dla jeleni przez luty, dla kozłów przez listopad i grudzień, dla głuszców i cietrzewi od 1-go stycznia do 31-go marca (dla kogutów), dla cieciorek — przez styczeń, dla słonek od 1-go do 16-go kwietnia, a nawet pozatem przez cały marzec.

Następnie domaga się zabronienia w całych Niemczech tak, jak to już się dzieje w Bawarji — polowania z fladrami na jelenie, oraz zezwolenia na odstrzał jeleni jedynie kulą.

Co się tyczy jeleni - byków, autor popiera projekt wysunięty przez p. Raesfelda w jego „klasycznej" książce p. t. „Jeleń". Wniosek ten brzmi:

„Ministerstwo w Prusach powinno zabronić ubicia w lasach państwowych, jeleni, które nie są jeszcze 12-takami, — od dnia 10 września do 1 grudnia.

Należy oczywiście zrobić wyjątek dla sztuk chorych i anormalnych, ale tylko za specjalnem pozwoleniem po odpowiedniem zbadaniu stanu rzeczy".

Przy sposobności dowiadujemy się, że w Prusach na 7 miljonów hektarów obszaru leśnego, około 2 miljonów stanowi własność państwa pruskiego.

J. O.

Ochrona przyrody w Wielkopolsce i na Pomorzu.

Wydział Wykonawczy Komitetu Ochrony Przyrody na Wielkopolskę i Pomorze, na którego czele stoją pp. prof. Adam Wodziczko jako przewodniczący i doc. dr. W. Kulesza jako sekretarz, wydał obszerną odezwę, w której napisano między innemi:

Ze wstydem przyznać należy, że w Polsce idea ochrony przyrody mało znajduje zrozumienia. Nawet ludzie wysoko postawieni, na naczelnych stanowiskach, uważają ruch ten za sentymentalizm lub sprawę podrzędnego znaczenia. Do dziś dnia nie doczekaliśmy się ustawy o ochronie przyrody, jaką posiadają inne społeczeństwa cywilizowane. Ogół społeczeństwa, żyjący w ciężkich warunkach doby obecnej, zajęty troską o chleb codzienny, też niewiele wie o tym ruchu, sądząc niejednokrotnie, że wobec mnóstwa problemów natury politycznej i ekonomicznej, które państwo nasze ma do rozwiązania, brak czasu na zajmowanie się tego rodzaju sprawami; że co najwyżej, pozostawić je należy specjalistom ze świata naukowego, pracownikom wyższych uczelni. Jest to tem przykrzejsze, że ziemie b. zaboru pruskiego, w szczególności nasze Pomorze, było już przed wojną kolebką ruchu dla ochrony zabytków przyrody, nietylko w państwie niemieckiem, ale w całej Europie. Tutaj zapoczątkowano

kował i wzorowo zorganizował ruch ten prof. H. Conwentz, podówczas dyrektor Muzeum Prowincjonalnego w Gdańsku. Stąd rozszedł się ten ruch po całej Europie.

Na wydatki, związane z działalnością komitetów prowincjonalnych, łożyły reprezentacje miast, jak Gdańska, Poznania, Bydgoszczy, Gniezna, Chodzieży, Leszna, Środy i innych; dalej sejmiki i wydziały prowincyj i powiatów, które niejednokrotnie własnym kosztem zabezpieczały drogą wykupna szczególnie cenne tereny.

Prostym obowiązkiem kulturalnym i naukowym wobec ziem przez nas odzyskanych jest utrzymanie się conajmniej narówni w tym wyścigu kulturalnym o ochronę naszej przyrody. Wszelkie zaniedbania na tem polu wyzyskiwane są przez wrogą nam propagandę niemiecką, nadają się bowiem doskonale do dyskredytowania nas w oczach zagranicy, jako narodu, który nawet nie umie uszanować pozostawionego dorobku kulturalnego

W niepodległej Polsce, wynikiem troski rządu o postawienie na należytym poziomie sprawy ochrony przyrody, było powołanie do życia już w roku 1919 „Tymczasowej Państwowej Komisji Ochrony Przyrody“, jako organu doradczego Ministerstwa Oświecenia.

Rozporządzeniem Rady Ministrów z 10 czerwca 1925 r. tymczasowa „Komisja“ została przekształcona w „Państwową Radę Ochrony Przyrody“ i ustanowiony został specjalny delegat ministra W. R. i O. P. do spraw ochrony przyrody; § 10 rozporządzenia przewiduje tworzenie dla pewnych obszarów „Komitetów Ochrony Przyrody“.

W wykonaniu powyższego rozporządzenia powołał minister W. R. i O. P. do życia „Okręgowy Komitet Ochrony Przyrody na Wielkopolskę i Pomorze w Poznaniu“.

Ponieważ działalność komitetu „nie może pociągać za sobą wydatków ze Skarbu Państwa“, a funkcjonowanie Komitetu musi być połączone z pewnymi kosztami, może się zatem oprzeć tylko na zasiłkach ze strony czynników samorządowych i społecznych. Z upoważnienia Państwowej Rady Ochrony Przyrody zwracamy się więc niniejszem z prośbą do władz samorządowych, reprezentacyj miejskich, sejmików powiatowych i wszelkich instytucyj, związków i osób, które rozporządzają funduszami na cele kulturalne, o udzielenie akcji komitetu poparcia finansowego przez wyznaczenie, ile możności stałych subwencyj rocznych i wpłacanie ich na konto Komitetu Ochrony Przyrody w P.K.O. Nr. 209.761.

Z Pomorza w skład komitetu wchodzą:

Z województwa pomorskiego p. kom. Laudowicz; z kuratorjum szkolnego p. naczelnik Świderski; z Dyrekcji Kolei Państwowych w Gdańsku: p. Aleksander Dobrzyjałowski; z Urzędu Marynarki Handlowej w Gdyni: p. inż. Aleksander Kuczewski; z Okręgowego Urzędu Ziemskiego w Grudziądzu: p. Tadeusz Skwarczyński; z Dyrekcji Lasów Państwowych w Bydgoszczy: p. Antoni Brablec, inspektor lasów państw.; z Pomorskiej Izby Rolniczej w Toruniu: p. Michał Bernakiewicz, nacz. wydziału leśnictwa.

KORESPONDENCJE.

MAŃKIEWICZE.

Po zebraniu danych od gminnych delegatów niniejszem donoszę, iż lęgi kaczek w tym roku powinny być dobre, lecz z powodu zatopienia niektórych gniazd na wiosnę, kaczki powtórnie się niosły i młode kaczki dzisiaj są bardzo różnorodne: od prawie lotnych do zupełnych piskląt.

Zwróciłem się do pana starosty Wendorffa, prosząc o wystaranie się u pana wojewody o przesunięcie otwarcia polowania na dwa tygodnie. Sady w tym roku, o ile będą dopilnowane, powinny być dobre.

Lęgi głuszców i cietrzewi niezłe, zaś jarząbków kiepskie. W Stolińskim powiecie wybrano kilkanaście sztuk młodych wilków i zniszczono je.

KAROL RADZIWIŁŁ.

Delegat Cent. Zw. Pol. Stow. Łow. na pow. Stoliński.

W SPRAWIE ZAMKNIĘCIA POLOWANIA NA KUROPATWY I ZAJĄCE W POWIECIE BRZEZIŃSKIM.

Zarząd Towarzystwa Racjonalnego Myślistwa w Brzezinach zwrócił się do p. starosty w Brzezinach z następującem podaniem:

Do Pana Starosty
w Brzezinach.

Rozpordządzenie obowiązujące obecnie, o prawie łowieckiem, samo przez się bez współdziałania zainteresowanych czynników — nie podniesie stanu zwierzyny łownej na terenie powiatu do zadowalniających wyników.

Przyczyny zaniku zwierzyny, a mianowicie: zajęcy i kuropatw są wszystkim wiadome i wyjście leży w naszej mocy.

Jedyną drogę do podniesienia zwierzostanu widzimy we wstrzymaniu na okres jednego roku (ewentualnie dwuch) polowań na terenie powiatu brzezińskiego.

Wobec tego prosimy uprzejmie Pana Starostę o wystąpienie do właściwych władz z wnioskiem o wstrzymanie polowania na zające i kuropatwy na terenie powiatu naszego na okres roczny lub dwuletni.

Ponieważ samo wstrzymanie zakazu wykonywania polowania rezultatów dodatnich nie da bez ochrony jej przed kłusownikami i drapieżnikami, należy prócz zakazu polowania zorganizować straż łowiecką, której istnienie nowe prawo przewiduje.
ką, której istnienie nowe prawo przewiduje.

Znając stan materjalny naszych myśliwych i hodowców, wiemy, że zaprowadzić straż można tylko wysiłkiem wszystkich.

Śmiemy więc prosić W. Pana Starostę, aby zechciał zarządzić zwołanie zebrania wszystkich myśliwych i hodowców naszego powiatu, na którem z łatwością można będzie przeprowadzić proponowany przez nas wniosek i obmyśleć drogi do uzyskania potrzebnych środków.

Jesteśmy gotowi podjąć się wykonania naszej propozycji co do zaprowadzenia straży łowieckiej.

Cześć św. Hubertowi.

Prezes: (—) Walter.

Sekretarz: (—) Fr. Kowalski.

Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

Wydział Wykonawczy zawiadamia, że w sprawie polemiki wynikłej na tle „Kalendarza Myśliwskiego", zwołano nadzwyczajne zebranie Wydziału razem z Komitetem Redakcyjnym.

Z KÓŁKA MYŚLIWSKIEGO W POSTAWACH.

Kółko myśliwskie w Postawach utworzone zostało w marcu b. r.

Prezesem wyżej wspomnianego Kółka wybrany został przez aklamację p. Wiktor Niedźwiecki — starosta postawski, a do Zarządu weszli: p. Doboszyński Marjan — wiceprezes, p. Wańkowicz Bohdan — skarbnik, p. Zdyb Mieczysław — gospodarz i p. Ertman Stanisław — sekretarz.

Narazie Kółko materjalnie jest biedne, bo ma zaledwie 18 członków, którzy wpłacili po 5 zł. wpisowego (są i opieszali) i po 2 zł. składek miesięcznych. Ponieważ każdy początek jest trudny, stan taki nas nie przeraża i Zarząd z ufnością patrzy w przyszłość.

Terenu na polowania Kółko posiada już 2515 ha, a ponieważ wydzierżawienie terenu na okres sześcioletni nie pociąga za sobą wielkich wydatków, sądzi się, że w przyszłości teren Kółka będzie obejmował jakieś 10.000 ha.

Ze zwierzostanem jest bardzo słabo, bo dotąd „myśliwych" było dużo i niektórzy z nich, jak chodzą słuchy, polowali nawet w czasie niedozwolonym. Ponieważ już obecnie dużo takich „myśliwych" odpadło, jest nadzieja, że w przyszłości zwierzostan się poprawi.

Dużą też klęską dla tutejszego zwierzostanu są „pętle" i podbierania jaj, bo każdy chłopak wiejski tem się trudni i praktykują to nawet niektórzy wieśniacy. Ponieważ nowa ustawa łowiecka pozwala p. staroście na winnych nakładać dotkliwe kary; znając energję p. starosty, mocno jesteśmy przekonani, że chętnych do wyżej wspomnianych praktyk zapewne nie będzie.

40-LECIE TOW. ŁOW. W ZŁOCZOWIE.

Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie obchodziło dn. 3 z. m. 40-letni jubileusz swego istnienia. Obchód rozpoczęto Mszą św. Ze smutkiem stwierdzono, że ani jeden z ówczesnych członków nie pozostał przy życiu. Na śniadaniu myśliwskiem w toastach między innemi mówcy wyrażali się z wielkiem uznaniem o energicznej działalności obecnego prezesa Towarzystwa, p. prokuratora Kazimierza Ansiona.

KŁUSOWNIK W WOJSKU.

Następujący proces, który toczył się w sądzie wojskowym, opisuje „Polska Zbrojna":

Na terenie Okęcia, należącym do Wojsk Klubu Łowieckiego, w dniu 20 listopada ub. r. ówczesny sędzia Wojsk. Sądu Okr. w Warszawie, ppułk. dr. Kamiński wraz z innymi myśliwymi brodził wśród niezmierzonych zasp śnieżnych, polując na zające.

W pewnym momencie ppłk. K. usłyszał nad swą głową świst kuli karabinowej. To utwierdziło go w przekonaniu, że w pobliżu znajdują się kłusownicy. Rozejrzawszy się w terenie, ppłk. K. istotnie zauważył dwóch osobników. Wezwał tedy obecnych, by pomogli mu ścigać, — sam zaś wysunął się naprzód w kierunku oddalających się mężczyzn. Po drodze spostrzegłszy zająca, ppłk. K. strzelił. Zając został zraniony.

Gdy ppłk. K spostrzegł, iż nieznajomi są żołnierzami, począł ich nawoływać, lecz w tym momencie jeden z nich, jak się później okazało, strzel. Aleksander Kuś, przyklęknął i strzelił w kierunku pułkownika.

Zrodziło się tedy pytanie, czy Kuś miał zamiar pozbawić życia ppłk. Kamińskiego, czy też strzelił do uciekającego zająca?

Strzel. Kuś pociągnięty został do odpowiedzialności za samowolne odalenie się z oddziału (Wyższa Szkoła Wojenna), polowanie bez pozwolenia i usiłowanie zabójstwa.

Na rozprawie, która odbyła się w Wojsk. Sądzie Okr. w Warszawie pod przewodnictwem mjr. K. S. Sożyńskiego przy udziale ppłk. K. S. Raczyńskiego, strzel. Kuś zeznał, iż jest zawodowym kłusownikiem. Tego dnia zabił kilka zajęcy.

Zaprzeczył natomiast, by miał strzelać do ppłk. K., gdyż nawet nie widział, by kto go ścigał, teren bowiem jest falisty.

Po przeprowadzonej rozprawie Wojsk. Sąd Okr. przyszedł do przekonania, iż Kuś strzelił w kierunku ppłk. Kamińskiego jedynie w celu wywołania postrachu i powstrzymania pościgu, tembardziej, iż chciał on upolować zająca, który w danym momencie przebiegał. Oskarżony nie działał zatem w zamiarze pozbawienia życia ppłk. K.

Jako jeden z motywów W. S. Okr. zaznaczył, że kłusownik zazwyczaj robi użytek z broni tylko wówczas, o ile nie ma innego wyjścia. W danym zaś wypadku oskarżony miał za sobą zaludnione Okęcie. O ile oskarżony miałby zamiar pozbawienia życia ppłk. K., to nie ulega wątpliwości, że zrobiłby dalszy użytek z broni.

Wojsk. Sąd Okr. uznał strzel. Kusia winnym samowolnego oddalenia się z oddziału bez pozwolenia i bezprawnego użycia broni, za co zasądzony został na 7 miesiący więzienia.

Oskarżał kpt. K. S. Koreywo; obronę wnosił adw. Kawczak.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Miejski Ogród Zoologiczny. — Na posiedzeniu komisji magistrackiej w Warszawie uchwalono, że ze względu na przyszły rozwój ogrodu zoologicznego pożądane jest, aby przywrócono dawną trasę kolejki jabłonowskiej w okolicy mostu kolejowego.

Inspekcja chwytania psów. — Z rozporządzenia ministra Składkowskiego przeprowadzona będzie inspekcja zakładu utylizacyjnego w celu zbadania warunków przechowywania złapanych psów w zakładzie oraz systemu ich tracenia za pomocą elektryczności. Do przeprowadzenia tej inspekcji wydelegowany został dr. Rozwadowski z min. spraw wewnętrznych. Inspekcja pozostaje w związku z mającemi się ukazać zarządzeniami regulującemi racjonalność walki z wścieklizną, system chwytania psów i tracenia. Zarządzenia te mają złagodzić srogi los psów niebudzących podejrzeń co do swego stanu zdrowia. Chodzi zwłaszcza o ochronę psów rasowych.

Walka z kłusownikami. — Pod Sosnowcem w lasach ząbkowickich koło wsi Tuczna Baba dokonano morderstwa na osobie 48-letniego leśniczego lasów państwowych, Józefa Graczyka. Zamordowano go wystrzałem z rewolweru, poczem dobito ciosem noża w głowę. Graczyk padł ofiarą obowiązku, gdyż morderstwa dokonali z zemsty kłusownicy.

Pod Bydgoszczą leśniczy Siewert z Wieczywna, obchodząc swój rewir, napotkał przypadkowo kłusownika czatującego w zasadzce. Gdy leśniczy wezwał go do oddania broni, kłusownik złożył się do strzału, lecz na szczęście kurek zaciął się i Siewert uniknął niechybnej śmierci. Widząc, że kłusownik zamierza się do strzału, leśniczy uprzedził go, strzelając i kładąc kłusownika trupem na miejscu. Zarządzone natychmiast śledztwo ujawniło, że zabity nazywa się Wojciech Fyda, rodem z Wieczywna.

Oficjalne polowanie na dziki. Pod Gostyczynem w powiecie Tucholskim na żądanie rolników urządzono polowanie policyjne na dziki w rejonie państwowego nadleśnictwa Zamrzenica. W polowaniu brało udział około 40 strzelców, a rezultat był ten, że ubito 2 prosiąt i 2 knury pokaźnej wagi.

Wyjątkowy pies policyjny. — Przy XVI komisarjacie policyjnym w Warszawie czynny jest wyjątkowy pies śledczy „Dolly-Bolly". Jest to suka czystej krwi alzackich owczarków; za swoją doskonałą rasę zdobyła już wiele pierwszorzędnych odznaczeń. Przesadza ona bez zbytniego trudu przeszkody na 2 metry 80 cm. wysokie. Odżywia się ją bardzo intensywnie. Dolly Bolly zjada dziennie 4 kg. koniny z kaszą jęczmienną. Należy do najlepszych psów śledczych w państwie polskiem, a jej długa praca na terenie Warszawy dawała nieraz zdumiewające wyniki.

Dolly Bolly była wysłana na cztery miesiące razem ze swym wychowawcą do szkoły psów policyjnych w Poznaniu i w grupie 30 psów skończyła ją jako prymus. Wobec tego Dolly Belly została zaliczona do najwyższej „A" kategorji. Jest ona idealnym obrońcą człowieka. Napozór łagodna i nieszkodliwa, atakuje każdego na rozkaz swojego pana z należną wściekłością. Jeśli usłyszy strzał rewolwerowy, rzuca się naprzód, skacze na strzelającego i natychmiast odbiera mu broń i przytrzymuje. Ale jeśli strzela jej pan, Dolly cierpliwie waruje.

Rozpoznaje zarówno przedmiot należący do danej osoby, jak i osobę należącą do przedmiotu. Z całej gromady osób rozpozna zawsze tego, którego specyficzny zapach zdołały wchłonąć w siebie jej delikatne nozdrza. Nie weźmie do ust strawy, dopóki nie poda miski jej pan i to tylko lewą ręką. Dolly Bolly występowała już dwa razy z wielkiem powodzeniem w krajowych filmach.

Żubry w lasach pszczyńskich. — Przybyło na świat cielę rodziny żubrów w lasach pszczyńskich. Obecnie rodzina składa się z dwóch starszych samców, jednej starszej krowy, młodego żubra 3-letniego, dwuletniej jałowicy i nowonarodzonego cielęcia. Rodzina naszych żubrów powiększa się powoli.

Ujęcie niebezpiecznego kłusownika. — Od dłuższego czasu grasował w lasach nadl. państ. Pelplin i okolicznych prywatnych bardzo niebezpieczny kłusownik, niejaki Klejna z Mysinka pow. Starogard, który w razie przydybania go na gorącym uczynku nie zawahał się strzelać do swych prześladowców. Niedawno na praktykanta leśnego Kaliszewskiego, który napotkał go w lesie na stanowisku z fuzją, skierował lufę, na co Kaliszewski zorjentowawszy się, padł momentalnie na ziemię, unikając w ten sposób śmiercionośnej pigułki. Po oddanym strzale kłusownik znikł, wówczas praktykant dał znać niedaleko przebywającemu leśniczemu p. Lorkowskiemu, z którym we dwójkę zabiegli drogę kłusownikowi i ujęli go. Jest to już 14-sty kłusownik przychwycony w tym rewirze. Nadmienić wypada, iż przychwycony rabuś ma tylko prawą rękę, co mu jednak nie przeszkadza niszczyć zwierzynę bez względu na gatunek i porę roku. Oby go dosięgła ręka sprawiedpliwości.

Ukaranie kłusownika. — W dobrach barona Paleske w Swarożynie niszczył zwierzynę zwłaszcza sarny na sidła, przy pomocy przyginanych drzewek, jakiś sprytny kłusownik, którego przychwycono w chwili, gdy jedną sarnę zaduszoną chował do worka, zastawiając na inną sztukę sidła. W ubiegłym miesiącu skazał go sąd w Starogardzie na 6 tygodni i odszkodowanie. Przestępcę zaraz po wyroku z sali rozpraw odprowadzono do więzienia.

BIBLIOGRAFJA ŁOWIECKA.

„Prawo Łowieckie" — Dr. Wincenty Kałuski, Nacz. Wydziału Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach. Nakładem Związku Pracowników Administracji Gminnej R. P. Cena 2 złote.

Leży właśnie przed nami świeżo wypuszczona z pod prasy broszura o prawie łowieckiem, opracowana fachowo przez dra W. Kałuskiego, Naczelnika Wydz. Urzędu Wojewódz. w Kielcach. Książka ta wypełnia lukę w naszej ubogiej literaturze łowieckiej, dając zwięzły i jasny wykład prawa łowieckiego, obowiązującego na mocy rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 3 grudnia 1927 r.

Bardzo pożądaną inowacją i zaletą tej pracy są liczne załączone, gotowe wzory wszelkich pism, niezbędnych w postępowaniu o odszkodowanie na podstawie prawa łowieckiego. Czynią one podręcznik ten niezbędnym w każdej gminie i urzędzie policyjnym, jak również nieodzownym dla myśliwych, właścicieli i dzierżawców polowań i t. p. osób mających styczność z łowiectwem.

Nadmienić należy, że oprócz ogólnego wykładu o prawie łowieckiem, zwierzynie, ochronie łowiectwa, wynagrodzeniu szkód, władzach i postępowaniu oraz postanowieniach karnych, zawiera ona również teksty ustawy o prawie łowieckiem i wydanych do niej rozporządzeń ministerjalnych oraz kalendarz łowiecki ze wskazaniem terminów ochronnych zwierzyny.

Bardzo przystępna bo tylko 2 zł. wynosząca, cena ułatwi nabycie tej książki wszystkim zainteresowanym. Nabywać ją można w Składnicy Związku Pracowników Administracji Gminnej w Warszawie ul. Żórawia 27.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

—o— Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie urządziło w ubiegłym sezonie następujące polowania gremjalne: 22.X w Stadni 21 strzelb 61 zajęcy. 29.X w Snowiczu 11 strz. 20 zaj. 5.XI w Laszowie 11 strz. 28 zaj. 3.XII w Poboczu 10 strz. 19 zaj. 10.XII w Snowiczu 12 strz. 14 zaj. i 2 lisy. 24.XII w Popaczach 12 strz. 33 zaj., 15.I w Żukowie 19 strz. 25 zaj. i 2 lisy. 14.I w Bonioszynie 14 strz. 32 zaj. 24.I w Żukowie 12 strz. 16 zaj. 31.I w Olszanicy 10 strz. 46 zaj. Na ostatniem polowaniu najwięcej ubił p. R. Hupałowski.

ZAWODY STRZELECKIE.

Przed mistrzostwami Polski. — W trzydniowych zawodach strzeleckich na strzelnicach w ogrodzie Saskim i przy ul. Nowy-Świat 35 wyniki były następujące: broń długa panów: I klasa: 1) Ossowski 376 pkt. II klasa: 1) Sierciński 272 pkt. **Panie:** 1) Karłowska 188 pkt. (rekord polski). Strzelanie konkursowe 9-ki i 10-ki: 1) Zawistowski 95 p. Strzelanie do sylwetek: 1) Zawistowski 13 p., 2) Perkowska 12.5. P. Perkowska pokonała 12 panów. Broń krótka: 1) Golański 240 p. Strzelanie do małych tarcz: 1) Ossowski 84 p. Strzelanie dla młodzieży p. w.: 1) Staniszkis.

Zawody w Kielcach. — Z okazji zjazdu przedstawicieli powiatowych komitetów w. f. i p. w. odbyły się w Kielcach pierwsze wojewódzkie zawody strzeleckie o nagrodę województwa kieleckiego. Do zawodów stanęło przeszło 200 zawodników i zawodniczek z różnych sfer. Wyniki były naste-

pujące: W strzelaniu na 200 m. z broni długiej wojskowej I nagrodę zdobył Unger ze Zw. Harc. Polsk. w Kielcach, uzyskując 76 pkt. na 100 możliwych. W strzelaniu dla członków p. w. na 200 m. na 100 uzyskał 78 pkt. Kosterski. W strzelaniu dla pań na 50 m. z broni kal. 22 na 200 uzyskała p. mjrowa Stawarzowa 160 pkt. W strzelaniu z tej samej broni na 400 uzyskał 367 pkt. Stanek. Z junjorów na 200 176 pkt. Unger. W strzelaniu dla pań I miejsce zajęła p. Morawcówna. W strzelaniu myśliwskiem do 10 krążków pierwsze miejsce zdobył Zakrzewski, trafiając 8 krążków, dalsze miejsca zajęli Leszczyński, Kędzierski, Plenkiewicz.

Król kurkowy w Krakowie. — W lokalu towarzystwa strzeleckiego odbyła się tradycyjna uroczystość intronizacji nowego króla kurkowego. Królem kurkowym na rok 1928—29 został prezydent miasta, inż. Karol Rolle, który oddał najcelniejszy strzał.

Strzelanie doroczne we Lwowie. — Wyniki były następujące: I z pistoletów: 1) Jan Drohojowski (nagr. pistolety pojedynkowe, dar Małop. Tow. Łow.). II tarcza 100 kroków 1) Haszłakiewicz (Poturzycka nagr.: sztuciec M. Schoenauer). III przez lunety na 300 kr. 1) Jan Drohojowski (prześliczna makata buczacka prezesa Juljusza hr. Bielskiego). IV ze sztućców małokalibrowych: 1) Jan Drohojowski (sztuciec automatyczny Kasyna Narodowego). V do tarczy ruchomej, dzika, 1) Andrzej Jakubowicz (Rozhurcza, popielnica z dzikiem). VI dzik w dublecie 1) Antoni Jakubowicz (budzik Małop. Tow. Łow.). VII lis ruchomy, 1) Michał Krasnopolski (popielnica z koziorożcem Jana Drohojewskiego). VIII śrutem do rzutków 1) Michał Garapich (kałamarz z onyksu Stefana hr. Badeniego). IX po 3 strzały w dublecie do dzika i lisa 1) Jan Drohojewski (popielnica z lisem Adama Kaplińskiego). X o mistrzostwo, 1) Jan Drohojowski (zegar antyczny Marjana Jaroszyńskiego). XI 5 strzałów do ruchomego dzika, 1) Jan Drohojowski prowizorycznie (wędr. srebrny kosz na kwiaty arcyksiążąt Stefana, Karola Olbrachta i Leona). Strzelania junjorów nie było, z powodu braku zgłoszeń.

Zawody Stanisławowskie, pierwsze wojewódzkie, dały wyniki następujące: 1) 100 m. Leon Majer. 2) 200 m. Kap. Różański. 3) 300 mtr. st. sierż. Michał Białecki. 4) z pistoletów, 20 — 50 m. ppor. Tadeusz Misiarowicz. 5) 50 m. Dutkiewicz. 6) pojedyńczy do jelenia, 100 m., Feliks Ratyński. 7) dublet do pary dzików, 60 m., kap. Wiśniewski. 8) podwójny do lisa, 50 m., Eustachy Barański. 9) do krążków, Tadeusz Barański.

Konkursowe strzelanie w Poznaniu urządzone staraniem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej. Pod kierownictwem p. Włodzimierza Bląka s-ra, kierownika firmy, odbyło się dnia 17-go z. mies. Do zawodów stanęło blisko 30 zawodników. W strzelaniu do rzutek nagrodę I-ą otrzymał p. Rousseau, II-ą p. M. Wagner, III-ą p. W. Bląk j-r. Do tarczy olimpijskiej: nagr. I-ą otrzymał p. M. Wagner, II-ą p. Z. Cichowski, III-ą p. Grzechowiak. Do rogacza — nagrodę I-ą otrzymał p. por. Łuczkowski, II-ą p. Dr. Borna, III-ą p. nadleśniczy Kegel. Zakończono zawody sensacyjnem strzelaniem do baloników w locie. Nagrody zostały rozdane w przedmiotach wartościowych oraz żetonach.

Ze Starogardzkiego Bractwa Strzeleckiego. — Przy tegorocznym strzelaniu godność króla kurkowego osiągnął p. Fr. Szczodrowski, dyrektor Kasy Chorych. I-szym rycerzem został p. Karol Karpenkiel, kupiec, II-gim rycerzem p. Maksymiljan Wejrowski, urzędnik sądowy. Pozatem w strzelaniu o nagrody osiągnięto bardzo ładne rzuhaty.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

+ **Żywienie się niedźwiedziem mięsem.** — Generał Nobile z załogi „Italji", w wywiadzie dziennikarskim opowiedział, jak rozbitkowie „Italji" po katastrofie na krze lodowej uniknęli śmierci głodowej: „Gdyśmy po katastrofie w dniu 26 maja znaleźli się na krze lodowej, mieliśmy zapasy żywności, wystarczające zaledwie na tydzień. Uratował nam życie niedźwiedź polarny. Była to jedyna żywa istota, którą zastaliśmy na krze lodowej. W godzinę po upadku Malgrem zastrzelił niedźwiedzia. Mięso olbrzyma polarnego jedliśmy jeszcze w dniu 23 czerwca, t. zn. w dniu, w którym Lundborg mnie odwiózł na pokład okrętu".

+ **Ptaki pod opieką Ligi Narodów.** — Liga Narodów wkracza od czasu do czasu w dziedzinę życia apolitycznego. Ostatnio zajęła się ochroną wielorybów i ptactwa, uznając zarówno te olbrzymie ssaki, jak i wszystkie ptaki za istoty „międzynarodowe", którym należy się również międzynarodowa opieka. Na określenie wielorybów i ptaków jako „międzynarodowców" wpadli referenci Ligi Narodów, stwierdzając, że zarówno wieloryby, jak ptaki, chętnie wędrują. Komisja do spraw międzynarodowych przyjęła wniosek o ochronie wielorybów, a komisja rolnicza uznała wagę ochrony ptactwa, jako pożytecznego tępiciela owadów.

+ **Badanie śpiewu ptaków.** — Przyrodnik angielski Nicholson, zajął się sprawą śpiewu ptaków, badając przyczynę śpiewu samców, gdy niejedna samiczka wolałaby zamiast najmilszego śpiewu, skuteczną pomoc w pracy. Nawet po wykluciu się młodych, gdy gorączkowo latać trzeba w poszukiwaniu żeru, samiec i wtedy przerywa co jakiś czas pracę i śpiewa. Tajemnica ciągle była nierozwiązana, aż do chwili, gdy podpatrzono wreszcie, że dotychczasowa teorja była nieścisła. Okazało się bowiem, że samiec u ptaków nie jest bynajmniej trubadurem: pierwszy jego czyn polega na tem, by osiąść na odpowiednim kawałku ziemi, gdzie często na bardzo znacznej odległości niema ani jednej samiczki jego gatunku, i śpiewać tak długo, aż się jakaś samiczka zgłosi. Bo u ptaków samiczka szuka, a nie samiec. Samiec, niemający do ofiarowania domu, nie miałby żadnych widoków powodzenia. A celem śpiewu było dać znać samiczce o swem istnieniu, jednocześnie zaś ostrzec wszystkich współzawodników, że na tym terenie on ma prawa przedewszystkiem. A więc śpiew ptaka pełni rolę bardzo ważną, bo nie pozwala dostawać się innym ptakom na teren łowów, które sobie zastrzega dany samiec, by móc wyżywić swe potomstwo. Utrzymanie współzawodników w przyzwoitej odległości przy pomocy śpiewu jest łatwiejsze, aniżeli walka z nimi. Samiec jednak gotów jest również walczyć, gdy jego ostrzeżenie nie skutkuje. To też w praktyce dochodzi często do bijatyk.

+ **Psy i lew jako aktorzy filmów.** — Udział zwierząt w akcji filmu niesłychanie ją ożywia. Bajecznym aktorem jest sławny pies-wilczur Rin-tin-tin. Historja odkrycia tej „gwiazdy filmowej" jest następująca: Podczas wojny światowej znalazł pewien żołnierz amerykański, kanadyjczyk, psiaka zranionego w zdobytym okopie niemieckim. Zaopiekował się nim i zawiózł go po ukończonej wojnie do swej ojczyzny. Tu Rin-tin-tin pracował w zaprzęgu, rozwożąc pocztę. Pewnego dnia uśmiechnęło się doń, a raczej do jego właściciela, szczęście. Oto jedna z wytwórni filmowych, sporządzając zdjęcia obrazów z krajów polarnych, „zaangażowała" Rin-tintina, aby na czele innych psów ciągnął zaprzęg z sań. Debjut psa wypadł nadspodziewanie pomyślnie, a reżyser wytwórni filmowej, zachwycony jego zmyślnością i tresurą, zaangażował psa na stałe, z pensją po 500 dolarów tygodniowo, którą pobierał szczęśliwy jego właściciel. Filmy z Rin-tin- tinem cieszą się wielkiem powodzeniem. Drugim takim „artystą" psiego rodu jest pies anonimowy, który grał z Charlie Chaplinem w obrazie „Psia dola". Na ekranie widzieć można wspaniałego lwa „Nunę" w roli aktora filmowego. Nuna jest niezmiernie łagodnem zwierzęciem. Zachowuje majestatyczny spokój i opanowanie w najbardziej denerwującej akcji. Potrafi jednak na zamówienie robić się „strasznym": jeżyć grzywę ,warczeć i bić ogonem o ziemię. Rzecz prosta, że te zdolności wraz z największą gwarancją bezpieczeństwa, stwarzają stan, że Nuna jest formalnie rozrywany przez wytwórnie, które płacą bajońskie honorarja za jego współpracę. Jego obecny właściciel Charles ma z tego salonowego lwa niewyczerpaną kopalnię złota, pomimo, że zapłacił za niego pół miljona dolarów. Ostatno widzieliśmy Nunę w monumentalnym filmie z Charlie Caplinem p. t. „Cyrk".

W dziale komedyj i grotesek występuje często nadzwyczajnie inteligentna i wytresowana kura. Właściciel tej niezwykłej kury, której na imię jest „Zuzanna", jest sławny reżyser filmowy Griffith. Kura ta ma swoją specjalną pielęgniarkę i żyje wygodnie, otoczona „kurzym" zbytkiem. Gaża jej wynosi 300 dolarów miesięcznie.